

Wprowadzenie

Teatr lalek wywodzi się z dawnych obrzędów i ceremonii. Dawne wierzenia w sprawczą moc przedmiotów martwych dotrwały do dziś, jak choćby lalka voodoo. Postać martwa, stworzona na podobieństwo człowieka i zwierzęcia, ożywa w rękach aktora. Jej groteskowość tworzy scenograf, a aktor użycza głosu i ruchu. Całość śmieszy lub przeraża. Teraz najczęściej widzom jest dziecko, ale kiedyś to właśnie tylko dorośli ludzie chodzili na lalkowe widowiska. Oglądali je w kościele – szopka, na jarmarku, w czasie świąt. Kuglarze szukali widza. Teraz teatr ma swoje miejsce i to do niego rodzice z dziećmi specjalnie przychodzą obejrzeć bajkę. Jednak tradycja objazdowych sztuk nie zanikła i do niedawna teatr z uproszczoną sceną sam podróżował po wsiach, miasteczkach, by uszczęśliwiać dzieci. Jak wszystko na świecie się zmienia, tak i teatr lalkowy dla dzieci ulega modyfikacjom. Reżyserzy, dyrektorzy teatrów szukają też widza wśród pełnoletniej publiczności. Łączą kukły z aktorami w maskach.

Sztuka teatralna przeznaczona dla małego widza musi być bardzo dogłębnie przemyślana. Psychika dziecka jest delikatna, więc reżyser, scenograf, muzyk muszą znać tajniki psychologii kilkuletniego odbiorcy. Dziecko rozwija swoją wyobraźnię, reaguje emocjonalnie na wszystko, co dzieje się na scenie. Uczestniczy w tym magicznym świecie, doświadcza kontaktu ze sztuką. Teatr lalkowy to nauka, przesłanie. Wymaga zastanowienia się nad wyborem adaptowanych dzieł, by sprostały wymogom dziecka, by ich przekaz był czytelny i prosty.

Scenograf w teatrze lalek jest kreatorem sztuki. On wizualizuje tekst w sposób plastyczny. On musi patrzeć na to, co tworzy, oczami dziecka. Stoi przed trudnym zadaniem, projektując lalki już znane dzieciom, jak choćby Pinokio. Dzieci znają te postaci z ilustracji książek i wiedzą, że chłopczykowi z drewna rośnie nos. Artysta scenograf też o tym wie, ale ma też i swoją wizję, swój styl, charakterystyczny tylko dla niego. Musi połączyć to wszystko w lalkę, która ożywa w rękach aktora, tak by dziecko zobaczyło w niej najistotniejsze cechy. Cała scenografia sztuki musi przemawiać w sposób prosty, a jednocześnie rozbudzać

wyobraźnię, poczucie estetyki małego widza. Obrazy smutne przemieniać w radosne, by ostateczne wrażenie wyniesione z teatru było pozytywne. Scena to kolor, ruch, światło. Wszystko musi ze sobą współgrać i to scenograf jest za to odpowiedzialny. Reakcja widowni dziecięcej jest najlepszym krytykiem. Jeśli dzieci włączają się spontanicznie krzykiem, śmiechem w przygody bohaterów będących na scenie, to znaczy, że spektakl jest zrozumiały i scenografia spełniła swoje zadanie.

Tak Mieczysław Antusiewicz napisał w publikacji „Teatr Lalek w Olsztynie” w roku 1981:

Teatr lalek jest przede wszystkim teatrem dla dzieci, a więc teatrem przygody, emocji, sensacji, przy tym teatrem groteski, humoru, fantazji, poezji, przypowieści moralnej i filozoficznej.

Młodociany widz jest świetnym widzem, bardzo wrażliwym, chłonnym i reagującym spontanicznie, ale i bezbronnym. Zarówno rzeczy dobre, jak i złe, przyjmuje na ogół bezkrytycznie i stąd płynie duża odpowiedzialność ludzi tworzących teatr za jego właściwy kształt, za jego oblicze moralne, estetyczne i pedagogiczne.

Fragment z opowieści „Celibat”

(...)Plota rodzinna donosiła, że kiedy mój pradziadek jechał konno przez pola, aby doglądać gospodarstwa, to młode dziewczuchy, widząc go z dala, uciekały w krzaki albo do lasu, no bo jak dopadł... Dziadek mój był w Wilnie urzędnikiem magistrackim i człowiekiem szanowanym. Grał na skrzypcach, zawsze miał jakiegoś psa. No i prowadził dosyć bogate życie pozamałżeńskie.

I tak dochodzimy do mojego ojca – postaci w tej opowieści najważniejszej. Uzdolniony był wszechstronnie. Zdał carską maturę ze złotym medalem, co umożliwiło mu, mimo zaczynającej się właśnie I wojny światowej, podjąć studia medyczne w Rostowie nad Donem. Rewolucja Październikowa te studia mu przerwała. Był ochotnikiem w 20. roku i wrócił z tej wojny z przestrzelonym stawem łokciowym prawej ręki, ale uruchomił ją i mógł bez trudu uprawiać sporty, grać na skrzypcach i na fortepianie, majsterkować i gimnastykować się do bardzo późnej starości.

Ojciec mój po powrocie z wojska do domu do Wilna idzie do Seminarium Duchownego i je kończy. Na księdza jednak nie zostaje wyświęcony, chociaż leżał już krzyżem w czasie mszy konsekracyjnej, ponieważ wstał i wyszedł przed święceniami. Kiedy go zapytałem, dlaczego to zrobił, odpowiedział, że celibat byłby dla niego zbyt dużym ciężarem i dlatego byłby złym księdzem.(...)

Fragment z rozdziału „ Toruń”

(...)Na letnim obozie akademickim zaprzyjaźniłem się z Tadeuszem Adamowiczem, na zimowym z Zygmuntem Makomaskim. Bardzo ciekawe i owocne były to znajomości i przyjaźnie. Gdzie i jak zaprzyjaźniłem się z kolegą wilnianinem z Wydziału Prawa, Wiktorem Małskim i jego żoną Żelą aktorką, nie mogę sobie przypomnieć. Prowadzili dom otwarty. Spotykali się tam aktorzy z teatru (dyrektorem wówczas był Wilam Horzyca) i wielu wilnian. Poznałem tam Henia Czyżę, który wrócił z internowania w Kałudze, później wielkiego dyrygenta, Stefana Burczyka, późniejszego znakomitego aktora. Bywali tam również Krzysztof Niesiołowski, Jurek Węśławski, Julek Narębski. Kiedy i jak poznałem Witka Smolskiego już nie pamiętam, a odegrał dużą rolę w moim życiu. Na Wydziale panowały niemal rodzinne stosunki, a to za sprawą w ogromnej mierze profesora Tymona, człowieka pogodnego i życzliwego ludziom. W pracowni malarskiej moimi dożgonnymi przyjaciółmi zostali bracia Kotlarczykowie, Józio i Zygmunt, oraz Wanda NAGRABIECKA i jej mąż Jan, który nie był studentem naszego Wydziału, Zdzisław Kulikowski i Zbyszek Lengren.(...)

Ze Zbyszkiem studia zaczynaliśmy razem, w tej samej pracowni. Był 8 lat starszy ode mnie. Jego rodzina miała pochodzenie szwedzkie. To taki nordycki typ, przystojny facet.

On się na tych studiach to niewiele już nauczył, bo przyszedł jako człowiek uformowany. Już dobrze rysował, manierycznie, malował pełne tłustawe akty. Modelka chuda dziewczyna, a u niego na rysunku tłusta. Takie robił i takie lubił. Już na studiach rysował do „Przekroju” jako satyryk, to sobie szybko wyrobił nazwisko. Kolegą był sympatycznym. Opowiadał, jak go żona przyłapała kiedyś, po powrocie z jakiegoś wyjazdu z lusterkiem i szminką, robiącego sobie na koszuli ślady. Chciał

wzbudzić zazdrość, ale mu się nie udało. A żonę miał też sympatyczną bardzo. Spotykaliśmy się czasami w Warszawie.(...)

Fragment z opowieści „Mój ślub w Zamościu”

(...)Życie z Marią w świetle dnia, bo nie w nocy, nie układało się nam dobrze. Po dwóch latach rozwiedliśmy się. W zgodzie, bez orzeczeń o winie.(...)

(...)Maria wyszła za mąż za Mariana Friedmanna, aktora Teatru Współczesnego, ojca Stefana Friedmanna, tak znanego z serialu radiowego „Matysiakowie”.(...)

Fragment z rozdziału „Warszawa”

(...)Jasio Puget to mój rówieśnik. Był naszym przyjacielem i często u nas bywał. Potomek niebywale starego rodu Puget de Puget, markizów z południowo-wschodniej Francji z miejscowości Puget. We francuskiej gałęzi tego rodu było szesnastu biskupów.

Wychowywała Jasia nie mamusia, ale ciotka, i tak wspominał:

– Pamiętam, że chodziłem w dziurawych butach, nogi miałem mokre, a mamusia była nieprzytomna....

Jasio skończył historię sztuki. Był człowiekiem o dużej wiedzy, znał dobrze francuski. To pozwoliło mu na odwiedzenie i krótki pobyt we Francji u seniora rodu, markiza w jego dobrach w Puget.(...)

(...)Z Jasiem połączyła nas praca w teatrze w Olsztynie, dokąd dojeżdżaliśmy prawie przez 30 lat. Był tam na półetacie kierownika literackiego. Jasio przy swojej wiedzy miał duży zmysł krytyczny i pisał dobre recenzje ze sztuk teatralnych, wystaw plastycznych, a nawet z przedstawień baletowych. Tłumaczył również na język polski czeskie teatralne sztuki lalkowe. Miał dużo znajomości w sferach ludzi kultury i dysponował wieloma wiadomościami oraz plotkami z tych kręgów.(...)

(...)Jasio dostał takiej manii, że on zaprzepaścił dorobek rodziny, miał wyrzuty sumienia i mówił:

– Ja jestem potępieniec.

Potem był psychiatrycznie leczony. Kiedyś do nas przyszedł i mówi:

– Wieszaleń się.

I faktycznie, pokazuje szyję, a tam pręga.

– No i co?

– A, sznur nie wytrzymał, mam już dość życia. Przez okno nie wyskoczę, bo tam są balkony i ja się będę obijał o te balkony.... nie wiadomo, jak to będzie.

Drugim razem się topił. To był grudzień, śniegu jeszcze nie było, ale panowało cholerne zimno. I Jasio przyszedł do nas i mówi:

– A wiecie, topilem się. Poszedłem pod most Śląsko-Dąbrowski (a mieszkał przy Dworcu Głównym, tam teraz znajduje się Muzeum Kolejnictwa, na Platynowej).

– No i co Jasiu?

– Pojechałem pod ten most, zszedłem nad rzekę, wlałem do wody, głębiej i głębiej. I mówię sobie – zaraz się utopię (a pływać nie umiał), a tu robi się płycej.

Był niewysoki stan wody i on tak przeszedł na drugi brzeg Wisły.

– I co zrobiłeś?

– Wróciłem do domu.(...)

Fragment z opowieści „Cud na Nowolipkach”

(...)Na Nowolipkach mieści się kościół pod wezwaniem św. Augustyna. Znalazł się on na terenie getta, które Niemcy obrócili w kupę gruzów, ale kościoła nie tknęli i budynku parafialnego przy nim też.(...)

(...)Działo się to gdzieś na początku lat sześćdziesiątych późną jesienią, bo dni były krótkie. Przeprowadzono remont kościoła i wyłożono gałkę pod krzyżem na szczycie dachu wysokiej wieży kościelnej. Nieopodał, na ulicy Leszno, czyli Świerczewskiego, a obecnej Alei Solidarności przesunięto kościół, poszerzono ulicę i zrobiono jak na owe czasy nowoczesne i silne oświetlenie jarzeniowe, którego światło odbijało się w owej kuli. Gruchnęła wieść po Warszawie, że nad ową kulą pojawia się Matka Boska.(...)

(...)Ksiądz proboszcz z tego kościoła wychodził do ludzi i mówił: „rozejdźcie się, idźcie do domów, cudu żadnego nie ma”. Mówił o tych światłach na ulicy Świerczewskiego. „Antychryst, ksiądz patriota komuchom się sprzedał” – krzyczał tłum.(...)

(...)To babcia wrzasnęła: „Cud!!!! Dziecko niewinne ujrzało cud!” I bach na kolana. I tłum także na kolana. I zostali tylko stojący milicjanci. Ogłupiali zupełnie, a tłum do nich: „Na kolana niedowiarki, bo cud!”. To i oni poklękali. Potem przyszła zima. Zalodziło, oszroniło i zawiąło śniegiem całe Nowolipki i kulę na kościele i cud też. Kto go dzisiaj pamięta?

Fragment z opowieści „O teatrze dla dzieci”

(...)Na tym przedstawieniu kiedyś siedziała obok mnie mała dziewczyneczka, blondyneczka, słodki aniołek. I kiedy cała widownia krzyczała zabić, ta miała inny pogląd na to, bo swoim piskliwym głosem krzyczała: spalić, spalić! Całkiem odmienną reakcję obserwowałem, i to wielokrotnie, przy odbiorze innej sztuki, do której zrobiłem scenografię. Była tam taka scena: główny bohater sztuki, Kichuś, idąc przez ośnieżony i groźny las, znajduje zamrożonego wróbelka. Bierze go w dłonie i zaczyna ratować, chuchając na niego. Taką zupełną ciszę, jaka wtedy zapadała, rzadko kiedy można usłyszeć w teatrze dla dzieci. Słyszać było tylko chuchanie. I nagle zdenerwowany głosik: Chuchaj jeszcze! Chuchaj, on żyje! A jaka radość powstawała na widowni, kiedy wróbelek mówił „pi” i rozprostowywał skrzydełka. Człowiek to twór wysoce emocjonalny...

Fragment z opowieści „Rozmyślania przed zejściem”

(...)Opowieść o duszy, wieczności i zaświatach to najgorsze bajdy, jakie w historii świata wymyślono – to czysty irracjonalizm. To od tysięcy lat domena szamanów, szarlatanów i szalonych nawiedzanceńców gotowych nawet śmiercią poświadczyć prawdę swoich nauk. Obiecywanie rajy i wiecznego życia po śmierci to świetny sposób na ogłupienie i zniewolenie ludzi, którzy byli w stanie w te obietniczki uwierzyć. Wiara ma też swoje nieliczne dobre strony, może przynosić ulgę rozmaitym nieszczęśnikom. Może być „opium dla ludu”. Ale za jaką cenę? Za zaparcie się swojego rozumu.(...)

Fragment z opowieści „O grzechach nieczystości”

(...)Wielkim tropicielem grzechów stał się Orygenes (185-254), filozof wczesnego chrześcijaństwa. Bezbłędnie zlokalizował on źródło i siedlisko ogromnej ilości obrzydliwych grzechów i siedlisko to w heroiczny sposób zlikwidował – własnoręcznie dokonał samokastracji.

Czyn ten stał się wyraźnym drogowskazem, gdzie należy szukać grzechów i grzeszników. Stało się jasne, że wystarczy w tym celu obwarować restrykcyjnymi przepisami najpotężniejszy ludzki instynkt, to znaczy potrzebę rozmnażania się. Produkcja grzeszników tą metodą stała się rzeczą niezwykle łatwą. Jeśli uświadomimy sobie, że grzeszyć możemy myślą, mową i uczynkiem, to praktycznie rzecz biorąc każdy, zawsze i wszędzie grzeszyć może dużo i to ciężko, bo owe grzechy w hierarchii grzechów ciężkich umieszczono niezwykle wysoko – zaraz po zabójstwie.(...)

Fragment z opowieści „Moje 10 przykazań”

(...)V. Nikt się sam na ten świat nie prosi, ale każdy, kto się już na nim znalazł, powinien mieć prawo do własnej godziwej śmierci – do eutanazji. Odmawiają nam tego prawa religijni sadyści wielbiący cierpienie, męczeństwo i Boże okrucieństwo. Przy obecnych możliwościach medycyny śmierć może być tylko słodkim zaśnięciem.

VI. Za chuligańskie pobicia oraz za znęcanie się, z zadawaniem bólu fizycznego, nad dzieckiem czy dorosłym osobnikiem – powinna być zasądzana kara chłosty – nawet wielokrotna i rozciągnięta w czasie. Odstraszająca skuteczność tej kary jest ogromna, o czym lekkomyślnie i bezrozumnie zapomniano.

VII. Zdecydowanie użyteczne byłoby przywrócenie kary śmierci za bestialskie morderstwa. W stu procentach, bez żadnych wątpliwości, udowodnione jest, że Breivik – morderca 77 przypadkowych, młodych ludzi – nie popełniłby nawet jednego zabójstwa, gdyby groziła mu kara śmierci, a nie tylko 24 lata luksusowego więzienia.

*A gdyby tak jeszcze przed jej wykonaniem czekała go wielokrotna kara chłosty?
Sprawa Breivika jest strasliwym przykładem na to, do czego doprowadzono w imię
idiotycznie rozumianego humanizmu.(...)*